Wojewódzka Biblioteka Publiczna w Rzeszowie

WIDNOKRĄG

TYGODNIK KULTURALNY

Nr 42 (108)
Rok III
20 X 1963 r.

ST. RYSZARD KORTYKA

Sen łodzi

Kamili i Witoldowi

Tchnieniem wód
rozbity brzeg
jednostronne otwarcie pejzażu
Zatoka
ugłaskana przepływem wycienionych wiatrów
nieodbytych regat
czasem zaogniona w rozbłysku wody
jak karacena
gdy rybom zamyka niebo zaciszone
Zatoka wysrebrzonej pogody wód
zbyt nieruchoma by mogła
unieść pękate przeznaczenie żagli
śladami wiatru złuszczone popołudnie
rozdarte płótno powietrza
...o jakże chciałyby teraz łodzie
rozwinąć gobelin zbłękitniałych pejzaży
...o jakże chciałyby teraz zapłodnić się wiatrem
chociaż na okres snu —
czerwonego pochodu nad miastem

POKOLENIA

JULIAN WOŹNIAK

O SPOŁECZNY SENS KOLPORTAŻU

KOLPORTER „Domu Książki". Ta jednoosobowa „instytucja" zasługuje na uwagę chociażby z tego względu, że od chwili wprowadzenia tej formy upowszechniania czytelnictwa minęło już lat kilka, a tymczasem zaszło wiele istotnych zmian na rynku księgarskim i wydawniczym. Z tego też względu charakter działalności kolportera powinien ulec radykalnej przemianie. Ale czy uległ?

Na wstępie należy się czytelnikowi wyjaśnienie. W tej chwili — statystycznie rzecz biorąc — jedna księgarnia przypada w województwie rzeszowskim na 24 tysiące mieszkańców. Dużo to czy mało? Stanowczo za mało normą bowiem, do której dążymy jest jedna księgarnia na 10 tysięcy mieszkańców. Tak szeroki rozwój sieci księgarskiej nie jest jednak możliwy w ciągu najbliższego okresu, choć postępuje on szybko i tylko ostatnie 6 lat przyniosło podwojenie liczby placówek Państwowego Przedsiębiorstwa „Dom Książki" w naszym województwie. A zatem nadal konieczna jest pomocnicza sieć upowszechniania czytelnictwa i rozprowadzania książek.

Księgarniom „Domu Książki" spieszy więc z pomocą w tym zakresie spółdzielczość wiejska, „Ruch" i... właśnie kolporterzy. Dla niektórych jest to profesja wcale, wcale! Stosunkowo dogodne warunki oferowane przez „D. K." dla tych, którzy chcąc się zająć kolportażem, stwarzają odpowiednią glebę, na której funkcja kolportera ma doskonałą pożywkę dla bujnego rozkwitu. W kieszeni kolportera pozostaje 10 procent kwoty, za jaką sprzedał książki. Jeszcze wyższy, bo wynoszący aż 15 procent, otrzymują kolporterzy wiejscy, a za sprzedaż książek z zakresu oświaty sanitarnej i książek społeczno-politycznych otrzymują aż 25 procent. Jest to więc niezwykle korzystna marża zarobkowa, która ma zrekom pensować trud sprzedawania książek.

Kolporter na podstawie zawartej umowy pobiera z księgarni książki wartości 1000 złotych. Obowiązuje tu zasada komisu. Sprzeda — dobrze, zarobi! Nie sprzeda — nic na tym nie traci. Nie sprzedane tomy oddaje i pobiera nowe. Obowiązkiem jest rozliczenie się kolportera dwa razy w miesiącu, aby nie zamrażać gotówki, ale ten warunek pozostaje w sferze zasad, które zasadniczo nie są przestrzegane.

Zdawać by się więc mogło, że korzystne warunki i udogodnienia spowodują nadmiar kolporterów Ale tak nie jest. W województwie rzeszowskim działa w tej chwili ponad 1000 osób, które zawarły umowę z „Domem Książki" na sprzedaż książek. Połowa z tego działa w środowiskach wiejskich, druga w środowiskach robotniczych i inteligenckich.

I tu trzeba się zastanowić nad korzyściami wynikającymi z działalności kolportera w określonym środowisku. No, bo jeśli praca kolportera w środowisku wiejskim jest jak najbardziej uzasadniona i wynika z istotnej potrzeby wypełnienia luki sieci księgarni wiejskich — to jak wytłumaczyć istnienie kolporterów np. w banku, PSS czy innych instytucjach, biurach i placówkach, mieszczących się w mieście wojewódzkim czy powiatowym? W tym przypadku kolporter w pewnym sensie wyręcza księgarnie. Przynosi ci książki do biura, podstawia pod nos, zachęca do kupna — prawda! Ale czy to jest teraz aż tak bardzo konieczne? Teraz, gdy książka przestała być „cegłą" na księgarskich regałach, a stała się towarem pierwszej potrzeby, towarem atrakcyjnym, poszukiwanym, sprzedawanym często „spod lady"? Nie zapominajmy też, że nakłady wydawnictw zostały poważnie obniżone i dyrekcja „Domu Książki" musi się głowić, w jaki sposób najsprawiedliwiej rozdzielić niezbyt przecież duże ilości atrakcyjnych tytułów dla bibliotek i indywidualnych nabywców. Rzecz zrozumiała — biblioteki są poważnie uprzywilejowane, a priorytet ten wynika z prostej argumentacji, że z biblioteki książka trafi do szerszego grona czytelników.

Toteż gdy przed laty kolporter werbowany niejednokrotnie pod rygorem sankcji organizacyjnych, przydatny był do rozprowadzania książek w jakimś szerokim zakresie kolportażu — to dziś jego społeczna funkcja jest diametralnie inna. Chodzi bowiem o to, by nie ograniczał się do usługi przyniesienia książki z magazynu i sprzedania jej nabywcy. Chodzi o kolportera — propagatora książek, kolportera — działacza na polu upowszechnienia czytelnictwa. Dość często bowiem zdarza się, że kolporterzy w zakresie swojej działalności widzą tylko stronę ekonomiczną profesji, własny interes, a nie dostrzegają swego społecznego zadania. Starają się rozprowadzić książki drogie ale chodliwe, wydawnictwa albumowe, encyklopedie, słowniki — a nie raczą nawet „zawracać sobie głowy" tytułami tańszymi, popularnymi, posiadającymi ogromną wymowę społeczną i polityczną. A właśnie o taki kolportaż powinno tu chodzić przede wszystkim... O społeczny sens kolportażu!

Głównym, zasadniczym celem działalności kolportera powinno być nie wyręczanie, lecz pomaganie księgarni, docieranie tam gdzie oddziaływanie księgarni jest jeszcze znikome, lub prawie żadne. Prawdziwy kolporter to działacz na polu upowszechniania książki fachowej i książki kształtującej światopogląd, upowszechniający czytelnictwo w środowiskach wiejskich i robotniczych.

W województwie rzeszowskim działa wielu kolporterów, którzy właściwie pojmują sens swej pracy. Do takich zaliczyć należy długoletniego kolportera w hucie Stalowa Wola — Józefa Kalbarczyka, inżyniera Czesława Czerwińskiego z Zakładów Metalowych w Nowej Dębie, czy Mirosława Jaździka z WSK Mielec. Ich miesięczne obroty przekraczają często 2 tysiące zł, a przedmiotem ich kolportażu są głównie książki naukowo-techniczne. Są oni potrzebni w swoich środowiskach. Spełniają rolę łączników załogi swego zakładu pracy z księgarnią. Ba! Nie czekają biernie na to, co nadejdzie do księgarni. Na bieżąco śledzą zapowiedzi wydawnicze, mają jednocześnie doskonałe rozeznanie w zapotrzebowaniu swoich środowisk i sami czynią starania o sprowadzenie poszukiwanych tytułów. Ich działalność spotyka się więc z dużym uznaniem.

To samo można powiedzieć o kolporterach wiejskich, takich np. jak Czesława Szumińska z Bobowej pow. Gorlice, Stanisław Homenda z Handzlówki pow. Łańcut i wielu, wielu innych, którzy nie ograniczają się do beletrystyki, ale przy okazji sprzedawania powieści np. Kraszewskiego, popularyzują i sprzedają książki fachowo-rolnicze, literaturę społeczno-polityczną i książki z zakresu oświaty sanitarnej.

Na zakończenie tych rozważań nasuwa się więc wniosek: wszyscy kolporterzy winni uświadomić sobie społeczny sens swojej działalności, a dyrekcja Państwowego Przedsiębiorstwa „Dom Książki" musi dbać o staranny dobór ludzi, przeprowadzać weryfikacje kolporterów oraz szerzej stosować kolportaż tam, gdzie książka nie ma żadnych innych dróg dotarcia.

Fot. Z. Postępski

KOŚCIÓŁ I DIEM

Na zdjęciu: Ngo Dinh Diem (z prawej) dyktator południowego Wietnamu w otoczeniu najbliższych krewnych, gorących zwolenników i obrońców reżimu. Od lewej: brat Diema kardynał *Ngo Dinh Thuc, głowa kościoła katolickiego w Wietnamie* południowym i pani Ngo Dinh Nhu, żona drugiego brata Diema, niezwykle aktywna politycznie, zaciekły wróg buddystów i bardzo pobożna katoliczka. Jej mąż kieruje (nie bez pomocy żony) własną partią polityczną i 70-tysięczną armią szpiegów i bojówkarzy.

Brutalny terror i prześladowania buddystów w południowym Wietnamie od dawna wywołują oburzenie światowej opinii publicznej. Napływające z każdym niemal dniem wiadomości o ostrych represjach, stosowanych wobec wyznawców buddyzmu, o aktach rozpaczy mnichów buddyjskich, płonących dobrowolnie na znak protestu przeciwko uciskowi, są wymownym oskarżeniem pod adresem dyktatury Ngo-Dinh-Diema.

Byłoby niewątpliwie poważnym uproszczeniem, gdyby odpowiedzialnością za to, co się dzieje w tym kraju, obarczać jedynie Diema. Obok sił imperialistycznych USA, które — traktując południowy Wietnam jako jeden z przyczółków wypadu przeciwko krajom socjalistycznym — umożliwiły wzrost roli i znaczenia reżimu Diema, widzieć należy i inne siły, którym Diem zawdzięcza nie tyle materialne, ile moralne poparcie, nawet w chwili obecnej.

Powszechnie wiadomo, że dyktatura ta — podobnie jak dyktatury Franco i Salazara — sprawowana jest w oparciu o doktrynę katolicką (sam dyktator i większość jego ekipy rządzącej to katolicy), a południowy Wietnam jest krajem, gdzie sojusz „tronu" i „ołtarza" osiągnął stopień stanowiący szczyt marzeń wielu integrystów nawet w krajach o znacznym powiązaniu Kościoła i państwa. Wiadomo też, że zwierzchnik Kościoła w tym kraju, arcybiskup Ngo-Dinh-Thuc — to rodzony brat Ngo-Dinh-Diema. O tym, jak ważne jest to rodzinne powiązanie i jak — nawiasem mówiąc — jest ono oceniane, świadczy opinia wyrażona przez znane katolickie pismo francuskie — „Informations Catholiques Internationales", które w numerze 188 z dnia 15 marca br. pisało: „Wskutek tego pokrewieństwa i funkcji obu braci „reżim i Kościół łączą się w jego — Diema (— red.) osobie".

Nic też dziwnego, że tak związany z reżimem zwierzchnik Kościoła angażuje się czynnie po stronie dyktatora Diema i udziela mu moralnego poparcia przy każdej okazji. Będąc np. w ub. roku przejazdem w Szwajcarii z okazji obrad Centralnej Komisji Soborowej, wygłosił tam odczyt pozornie na temat Kościoła w Wietnamie, stanowiący w istocie obronę reżimu południowowietnamskiego. Było to tak jaskrawe, że jak podaje wspomniane pismo — arcybiskupowi zwrócono uwagę, by zechciał jednak omówić również... sytuację Kościoła katolickiego w tym kraju.

Wywołuje to również niezadowolenie wśród duchowieństwa katolickiego w południowym Wietnamie, głównie dlatego, że jaskrawa dominacja katolicyzmu z całą jego machiną propagandową, zaczyna kierować sympatie wielu ludzi ku buddyzmowi. Ostatnio dali temu wyraz nawet dwaj biskupi, nie mówiąc już o wielu księżach i świeckich katolikach. Wspomniane już pismo francuskie przedstawiając niezadowolenie opinii publicznej z racji ścisłego sojuszu władzy z Kościołem, pisze następująco:

„Ta opinia publiczna jest czuła na rangę honorową, jaką zajmuje biskup podczas defilady wojskowej, na wejścia i wyjścia sutann z gmachów ministerstw, na ich możliwości interwencyjne w uwolnieniu podejrzanego lub uzyskaniu pomocy dla uchodźców. Chociaż opinia ta uważa za normalne, że prezydent przyjmuje komunię na każdej oficjalnej mszy, to jednak przyjmuje z mniejszym zadowoleniem tamujące ruch na całych kilometrach ulic w Sajgonie lub Hue procesje, które przygotowywane są przez całe tygodnie z pomocą techniczną personelu wojskowego i jego materiału, lub przez Urząd Informacji".

Jest rzeczą interesującą, że katolicyzm w tym kraju, mający stanowić w założeniach jego zwierzchników główną siłę agresywną przeciwko komunizmowi, korzysta z szerokiego poparcia szeregu kół niekatolickich o nastawieniu skrajnie antykomunistycznym. Jakże wymowny jest fakt, że do rozwoju głównego ośrodka maryjnego w La Vang przyczynili się znacznie m. in. wicepremier i szef sztabu generalnego — obaj niekatolicy.

Te polityczne aspiracje Kościoła katolickiego w południowym Wietnamie do odegrania czołowej siły antykomunistycznej nie są zresztą oderwane od podobnych tendencji katolicyzmu w innych krajach azjatyckich. Spotykamy je również na Filipinach, w Indii, na Tajwanie, w Singapurze i innych krajach, ale najbardziej jaskrawy wyraz znalazły one właśnie w południowym Wietnamie. Hasło „świętej kontrrewolucji", kursujące bardzo często w kierowniczych kołach katolickich tego kraju, nie jest tylko przypadkowym zestawieniem dwóch słów, ale stanowi miarę dążeń politycznych wspomnianych kół.

Stąd też wywodzi się typowy integryzm, panujący wśród poważnej części hierarchii katolickiej zainteresowanej w umocnieniu katolicyzmu wszelkimi metodami. Do tych celów wprzęga się nawet personalizm mounierowski, oczywiście odpowiednio preparowany i adaptowany do warunków miejscowych. Charakterystyczne jednak, że mimo tego ogromnego nacisku przy pomocy szkół i administracji, policji i wojska, aparatu propagandowego, liczba katolików w tym kraju pozostaje nadal w porównaniu do całej ludności znikoma. Według oficjalnych statystyk na 14 mln mieszkańców katolicy stanowią niecałe 1,5 mln, wzrost zaś liczby katolików, jaki podobno miał nastąpić w ubiegłych latach, spowodowany został rzekomo motywami natury politycznej. Tak więc katolicyzm w południowym Wietnamie, podobnie jak w całej Azji, nie rezygnując bynajmniej z wygórowanych aspiracji politycznych, pozostaje znikomą niemal mniejszością wśród ludności tego kraju.

Innym zagadnieniem, które ściśle wiąże się z omawianymi tutaj sprawami, jest stosunek Watykanu do skompromitowanego w oczach światowej opinii publicznej reżimu Diema. Jest rzeczą oczywistą, że sprawowanie rządów przez ludzi afiszujących się oficjalnie katolicyzmem i w imieniu tegoż katolicyzmu sprawujących rządy, w dodatku w sposób nie przynoszący mu zaszczytu, nie ułatwiało bynajmniej zajęcia stanowiska. Przed kierowniczymi kołami watykańskiej polityki stanęła jednak taka konieczność, zwłaszcza, że opinia światowa niedwuznacznie oceniła postępowanie dyktatora południowego Wietnamu.

Przez długi czas brak było oficjalnego głosu Watykanu i odnosiło się wrażenie, że liczono tam na szybkie zakończenie incydentów i rychłą normalizację stosunków między katolikami a buddystami. Gdy ta jednak nie następowała, zdecydowano się wreszcie przerwać krępujące milczenie w połowie sierpnia br. zamieszczając w „Osservatore Romano" artykuł poświęcony wydarzeniom w Wietnamie. Odcięto się w nim wyraźnie od jakiejkolwiek odpowiedzialności Kościoła za rozgrywające się tam wypadki, ale jednocześnie nie potępiono wyraźnie reżimu Diema za okrucieństwa, popełniane na ludności buddyjskiej, główną uwagę zwrócono na fakt, że „walka, która powoduje rozterkę narodu wietnamskiego, wystawia na szwank jego jedność konieczną do obrony przeciwko niebezpieczeństwu komunistycznemu".

Gdy prześladowania buddystów nie ustawały, a oburzenie opinii publicznej rosło, zdecydowano się na innego rodzaju posunięcie. Oto 30 sierpnia br. ogłoszono w Watykanie „Orędzie Jego Świętobliwości do narodu wietnamskiego", w którym papież Paweł VI — nie potępiając również ani słowem Diema i jego prześladowań wobec ludności buddyjskiej — ograniczył się do wyrażenia „bolesnej troski" w sprawie „smutnych wydarzeń, które dręczą ukochany naród wietnamski", oraz wypowiedział kilka zdawkowych sformułowań.

Na tym orędziu sprawa nie została bynajmniej zakończona. Ogólnikowa wymowa i dyplomatyczny ton orędzia papieskiego, ocenionego całkiem niesłusznie przez wiele kół katolickich jako protest przeciwko prześladowaniom buddystów w Wietnamie południowym, uzupełniony został tego samego dnia przez bardzo znamienny komentarz radia watykańskiego. Kilkakrotnie już, za czasów obecnego papieża, przyjęto taktykę uzupełniania wystąpień papieskich komentarzami radia watykańskiego lub „Osservatore Romano", które — nie będąc zobowiązane do stosowania języka dyplomatycznego w takiej mierze, jak głowa Kościoła — mogą jaśniej wyrażać pogląd polityki watykańskiej.

W komentarzu tym radio watykańskie na marginesie orędzia Pawła VI, występując przeciwko obarczeniu katolicyzmu i Kościoła w ogóle współodpowiedzialności moralnej za wydarzenia wietnamskie w znamienny sposób usprawiedliwia władzę Diema. Komentarz głosi bowiem m. in.: „Surowe środki wydane przez rząd nie mogą uchodzić za inspirowane przez jakąś poszczególną wiarę religijną, **ale wynikają z oceny wyraźnie natury politycznej**". (podkr. autora).

Takim usprawiedliwieniem wg. autorów komentarza jest zagrażające rzekomo niebezpieczeństwo komunizmu. Wbrew oczywistym faktom radio watykańskie podkreśla z całą siłą, że „w tym wszystkim należy dopatrywać się źródeł niepokoju i nieporządku, w jakim się obecnie znajduje kraj".(!)

W dalszym ciągu władzę Diema usprawiedliwiano w następujący sposób: „Władze ze swej strony czują się w obowiązku przeszkodzić wszelkiej infiltracji komunistycznej, a przede wszystkim każdemu zachwianiu sumień, każdemu wyrazowi zgody i sympatii, które osłabiłoby wewnętrznie front". W zakończeniu komentarz wzywa do zgody i wspólnego działania w imię „wyższych wspólnych interesów" obu stron, „które w istocie rzeczy są sobie dużo bliższe aniżeli ta chwilowa desperacja wydaje się na to wskazywać". W świetle całego komentarza może oznaczać to tylko jako wyraźna sugestia osiągnięcia jedności katolików i buddystów na płaszczyźnie skrajnie antykomunistycznej.

Tak więc radio watykańskie powtarza tu faktycznie argumenty propagandy Diema, który wbrew interesom i woli narodu usiłując utrzymać swój reżim przy władzy szermuje hasłami antykomunizmu.

Jest wprawdzie faktem, że papież Paweł VI, nie przyjął dotychczas na audiencji rozpolitykowanego arcybiskupa Ngo-Dinh-Thuca, który nawiasem mówiąc liczył na to wyraźnie podczas swojej ostatniej podróży do Rzymu i Stanów Zjednoczonych, ale faktem jest również, że nie zajął on zdecydowanie stanowiska potępiającego reżim Diema.

K. DOBRZYNIECKI

Siedzę w tym bzie i widzę, kto się pojawia na drodze i co się dzieje w domu starego Bałaja, a mnie nikt nie widzi, bo krzak zasłania. Mama kazała mi schować się w tym krzaku przy oknie, bo ona coś zamyśla; ona chce wiedzieć czy będzie mowa o takim jednym kawałku pola, gdy przyjadą z miasta synowie Bałaja; bo mama jest krewną starego i coś zamyśla i dlatego kazała mi wejść do tego krzaka, żebym ich podsłuchał.

Najpierw na drodze zjawił się ten najstarszy syn starego, ten inżynier; był ładnie ubrany i niósł w ręce teczkę. On szedł prosto na ten bez i na ten dom swojego ojca, a przy krzaku to się zatrzymał, ale mnie nie zobaczył.

Ojciec, to znaczy ten stary Bałaj wyszedł i śmiał się i mówił — dobrze, że przyjechałeś synu; a potem jeszcze raz powtórzył to — dobrze, że przyjechałeś — a potem się objęli i pocałowali i stary puścił syna przodem.

Zadudniły ich kroki w sieni i w izbie, bo kroki dudnią gdy się wejdzie do pustego domu; a ja te kroki słyszałem, bo bez był blisko ściany przy oknie, a okno zostawili otwarte, bo na dworze było gorąco.

Tam w izbie stary powiedział do syna — usiądź Władek i ja usiądę, to porozmawiamy trochę.

Stary Bałaj z tym synem inżynierem mówili długo o tym, co rośnie w polu i o tym, co jest w stajni i w oborze i o tym, co tam zdechło i co się chowa; stary wciąż nawracał do tego zdechnięcia jakiejś sztuki i wciąż powtarzał — gdyby mi ta sztuka nie zdechła... i dalej już nie kończył, tylko na nowo zaczynał — gdyby mi ta sztuka nie zdechła...

Można było pomyśleć, że działyby się jakieś bardzo ważne i wielkie rzeczy, gdyby mu ta sztuka nie zdechła, ale sztuka zdechła i dziać się nie będą, ale jakie to były rzeczy to nie wiadomo, bo stary nie kończył, tylko zaczynał.

Drogą szła Zazulina, o której mówili, że jest do wszystkiego, to znaczy do roboty i jeszcze do czegoś innego, no do tego, co się zaczyna od klepania po tyłku. Ona posługuje u starego Bałaja i jak mówią on jej ma za to dać kawałek pola; to się mówi, że za to posługiwanie, ale chłopaki i ja wiemy, że także za to, co się zaczyna od tego klepania. Bo stary Bałaj jest jeszcze przy siłach, a jak kto jest przy siłach, to zaraz o takim mówią, że musi spać z babą.

Synowie Bałaja pewnie wiedzą o tym, co jest między ich ojcem a Zazuliną i może będzie dziś o tym mowa, gdy przyjadą.

Oni się zjeżdżają na imieniny starego, bo w mieście się nauczyli obchodzenia imienin.

Ale oni chyba nie będą przez cały czas czcić tych imienin i powiedzą coś o tym polu, które stary chce dać Zazulinie.

Chodzi tylko o to, żeby mówili o tym kawałku pola i żeby nie zamykali okna, to ja tego wszystkiego wysłucham i wtedy będę mógł wyleźć z krzaka i polecieć do domu i powiedzieć to wszystko mamie. Ale to tak prędko nie będzie, bo jeszcze nie ma tego Wacka, to znaczy tego drugiego syna, który został nauczycielem i wyniósł się ze wsi i tamtych dwóch też nie ma.

Stary Bałaj i jego syn inżynier wciąż mówią o gospodarstwie i o tym, co jest zasiane, ale o Zazulinie nie wspominają, tak jakby jej nie było; i o tym kawałku, który ma ona dostać też nic nie mówią; pewnie czekają z tym aż przyjdą wszyscy.

Stary Bałaj powiedział do syna — nie przychodzi ten Wacek, pewnie się autobus spóźnił; ale Wacek już szedł drogą i ja go zobaczyłem, a potem zaraz stary i ten inżynier także go zobaczyli i wyszli przed dom i czekali na niego. Ten Wacek był trochę mniejszy od Władka, miał na sobie brązowy płaszcz i kapelusz i wyglądał jak pan.

A później to nic się nie działo, tylko wszyscy w trójkę śmiali się, bo się cieszyli, że są razem i staremu wciąż chodziły w przód i w tył te siwe wąsy.

Przez okno wszystko słychać i gdy zaczną mówić o Zazulinie i o tym polu, które ma być jej, będę to dobrze słyszał; ale stary mówi — Felek i Stefek przyjdą pewnie razem bo im pasuje jeden pociąg i jeden autobus, trzeba pewnie wyjść im naprzeciw. A jeden z tych synów, którzy byli w izbie odpowiedział na to — posiedzimy trochę i wyjdziemy.

Oni wiedzieli, że to będzie ładnie wyglądać, gdy we trójkę wyjdą po tamtych dwóch i później będą w piątkę wracać; bo to musi ładnie wyglądać, gdy taki stary ojciec idzie przez wieś z czterema synami, którzy wyszli na ludzi. Wszyscy wiedzą, że takie coś ładnie wygląda i cała wieś, gdy to widzi mówi — jakich to synów się dochował stary Bałaj; albo mówi — takiemu to nie żal umierać, bo dzieci są już na swoim chlebie; albo ludzie mówią, gdy widzą, że synowie wzięli ojca w środek i idą z nim razem przez wieś — doczekał szczęścia stary, bo ma dobrych synów; albo mówią — takiemu dobrze; albo — co mu bieda zrobi. Różnie mogą mówić, gdy ich zobaczą tak idących przez wieś.

Jeden z synów powiedział — może już wyjdziemy naprzeciw Felka i Stefka... To oni we trójkę wyszli, a ja wciąż siedziałem w tym bzie.

Tamci dwaj też wyglądali jak panowie. Jeden miał na głowie kapelusz, a drugi oficerską czapkę.

Wracali w piątkę i to bardzo ładnie wyglądało.

Już są w izbie i ja sobie myślę, że zaraz będą mówić o tym, czego mi mama kazała słuchać; ale o tym nie mówią tylko zaczynają rozkładać na stole jakieś jedzenie, które stary przynosi z kuchni; stawiają na stole jakieś flaszki, w których pewnie jest wódka i śmieją się, i coś mówią, ale nic ważnego.

Gdy już ten stół zastawili jedzeniem i flaszkami, to zaczęli sobie różne rzeczy przypominać; będę musiał przeczekać to wspominanie.

Wciąż mówią o tym, co było dawniej i piją wódkę i jedzą kiełbasę, którą stary przynosi z kuchni na talerzach. Pewnie Zazulina to wszystko przygotowała i zniknęła, żeby jej nie widzieli synowie Bałaja, bo pewnie by zaraz pomyśleli, że dybie na pole starego.

Teraz weszli na to gadanie o wojnie i wychwalają się, że widzieli wojnę. Można to zauważyć, że starzy zawsze się chwalą, gdy mówią o wojnie; choć o tych czasach kiedy była wojna mówią ze smutkiem, to także się chwalą i robią się ważniejsi od dzieci, bo przeszli wojnę.

Wielki ruch był w tej izbie, bo oni pili wódkę i dobrze nie słyszałem, co powiedział ten najstarszy, ten Władek, który jest inżynierem; ale zdaje mi się, że on powiedział — brakuje tu jednego. Zrobiło się cicho na krótko i wszyscy przestali się śmiać i słychać było tylko starego, który odpędzał kota, bo kot pchał się do stołu i czepiał się pazurami ubrań; czuł, że na stole jest tłuste jedzenie.

Potem znów wszyscy zaczęli się śmiać, bo ten kot śmiesznie uciekał; i ten Władek, ten inżynier też się uśmiechnął i znów wszyscy pili i zrobił się szum i można było zauważyć, że oni bardzo się kochają. Wtedy sobie pomyślałem, że to dobrze, gdy się obchodzi imieniny, bo cała rodzina się zjedzie, wszyscy się sobie napatrzą, wszyscy się nagadają i nacieszą i później gdy odjadą, to we wsi długo mówią o takiej rodzinnej radości.

Teraz to ja już wyraźnie usłyszałem co powiedział ten najstarszy syn starego. Nie myliłem się, on powiedział to samo — brakuje tu jednego.

Ci dwaj młodsi chcieli coś mówić, ale stary zaczął szybko namawiać wszystkich do picia i podniósł do góry kieliszek; znów zaczęło się picie i weselenie, i ten Władek pewnie zapomniał, że powiedział — brakuje tu jednego.

A potem to oni mówili o tym Stefku, który najdalej za-

II Tydzień Archiwów

W służbie nauki i społeczeństwa

W dniach 12—20 bm. państwowa służba archiwalna obchodzi po raz drugi „Tydzień Archiwów". Pierwszy odbył się przed 5 laty.

Z okazji święta archiwistów, kilka słów o ich codziennej pracy. Państwowa służba archiwalna w woj. rzeszowskim posiada Archiwum Wojewódzkie i 4 oddziały terenowe w Jaśle, Rzeszowie, Sanoku i Tarnobrzegu. W najbliższym czasie zostanie otwarty nowy oddział w Przeworsku.

W 1951 r. cały zasób archiwalny zajmował 250 mb. półek. Dziś przekroczył 3.000 metrów. Zgromadzono w magazynach uratowany zespół akt wytworzonych przez urzędy, przedsiębiorstwa i instytucje z okresu do 1944 r. Z akt urzędów i instytucji Polski Ludowej w archiwach znajdują się dokumenty administracji państwowej i samorządowej, niektórych większych zakładów przemysłowych oraz ogromnie interesujący zbiór akt seminariów nauczycielskich w Krośnie, Łańcucie, Przemyślu, Sanoku i innych.

Archiwum wraz z oddziałami dysponuje w pełni uporządkowanymi zbiorami dokumentów wszystkich starostw z lat 1944—50, większości zarządów miejskich i gminnych z tego okresu, Komendy Wojewódzkiej P.O. „Służba Polsce", Państwowego Urzędu Repatriacyjnego i większości wydziałów Urzędu Wojewódzkiego w Rzeszowie. W stadium uporządkowania znajdują się materiały Okręgowego Zarządu i Zjednoczenia PGR oraz Wojewódzkiego Związku Kółek Rolniczych.

Archiwa opracowują swe zbiory w celu udostępnienia ich dla badań naukowych, dla potrzeb administracji i gospodarki narodowej, a także dla obywateli.

Przez pracownie naukowe archiwów przesunęło się w ub. okresie ponad 300 badaczy, którym udostępniono ponad 4.000 woluminów i około 1.000 map. Inną formą udostępniania materiałów archiwalnych były kwerendy dla potrzeb naukowych, administracyjnych i prywatnych. Nasze archiwa wykonały ich ponad 2.000. Prócz tych prac, zespół archiwistów województwa rzeszowskiego opracował około 400 wstępów do inwentarzy archiwalnych, wygłosił 38 referatów na posiedzeniach naukowych i opublikował 16 artykułów. Przygotowano też do druku „Lustrację Ziemi Przemyskiej i Sanockiej z lat 1662—4".

Ta inicjatywa wyjdzie na dobre

Przewodniczący obradom egzekutywy pierwszy sekretarz lubaczowskiego KP, szczupły, czarniawy mężczyzna jest wyraźnie zmęczony. I nic w tym dziwnego. Niedawno właśnie powiat zakończył obowiązkowe dostawy zboża i na zmęczenie sekretarza (i nie tylko jego) złożyła się niejedna nieprzespana noc, niejeden terenowy wyjazd, ciągnące się długo w wieczór zebrania. Właściwie to aż dziw, że w tym nawale chciało się egzekutywie przeznaczyć całe posiedzenie jednemu tylko tematowi i w dodatku kulturalnemu. Zjawisko to w naszych instancjach powiatowych jeszcze nie nazbyt powszechne i tym większa towarzyszy lubaczowskich zasługa. Zwłaszcza że przygotowania do obrad były bardzo staranne. Na długo przed nimi towarzysze z KP, członkowie komisji ideologicznej ruszyli w teren zaopatrzeni w błogosławieństwo sekretarza propagandy i 13-punktowe ankietki, które miały pozwolić na ustalenie w przybliżeniu obrazu pracy kulturalno - oświatowej w PGR-ach, bo taki właśnie był temat posiedzenia egzekutywy. Dzięki temu miała ona do dyspozycji nie tylko sprawozdania PGR-owskie, ale także własne, dokładne materiały. Właśnie w oparciu o nie sekretarz mówił:

— W rozwoju gospodarczym państwowych gospodarstw rolnych zrobiliśmy duży krok naprzód. Notujemy osiągnięcia, którymi można się pochwalić. Ale w bilansie naszej pracy liczą się nie tylko wskaźniki ekonomiczne, liczy się człowiek, zaspokojenie jego potrzeb materialnych i kulturalnych, praca ideowo - wychowawcza. Tu zaś nie wszędzie bilans jest dodatni. Co czwarty pracownik PGR w naszym powiecie nie ma ukończonej szkoły podstawowej. Praca kulturalno-oświatowa z załogami gospodarstw pozostawia wiele do życzenia.

Sekretarz mówił oczywiście dłużej i z jego słów oraz z wypowiedzi dyskutantów wyłaniał się powoli obraz sytuacji w lubaczowskich PGR-ach.

A więc, przede wszystkim ludzie. Na ponad 800 pracowników tutejszego Inspektoratu PGR 220 osób nie ma wykształcenia podstawowego. Z tego uczy się tylko 32. A powiedzieć trzeba, że cyfry te obejmują tylko pracowników do 35 roku życia, że niejeden z tych 220 to półanalfabeta, w metryce zaś wielu takich z ukończoną jedną czy dwiema klasami „podstawówki" widnieje rok urodzenia 1933, 1936, 1940. Czas wolny od pracy ludzie ci spędzają jeszcze w sposób daleki od tego, jak czyni to robotnik czy pracownik w mieście. Zbyt często, niestety, rolę rozrywki odgrywa butelka z „czystą" lub owocowym wińskiem.

A działalność kulturalno - oświatowa? Przecież w PGR są rady zakładowe, organizacje społeczne, fundusze na te cele!

To prawda. Niezależnie od funduszu zakładowego, z którego np. kupiono w lubaczowskich PGR-ach 19 telewizorów, dysponują one sumą ok. 400 tys. złotych rocznie z kasy związkowej na działalność kulturalną. Niestety, większa jej część idzie na cele nieco odmienne. Tak np. PGR w Starym Siole połowę swojego funduszu na pracę kulturalno - oświatową przejadł, przepił i przetańczył na dożynkach, połowę zaś skreślono z braku możliwości wykorzystania. W Nowym Siole dla odmiany z 45 tys. zł tego funduszu więcej niż połowę wydano na wycieczki krajoznawcze. Wycieczki i dożynki powtarzają się niemal we wszystkich sprawozdaniach o wykorzystaniu pieniędzy na cele kulturalno - oświatowe. W rezultacie więc z owej okrągłej sumki 400 tysięcy zł idą na te cele jedynie mizerne tysiączki.

A baza przecież jest: 21 świetlic, 1 klub - kawiarnia, 4 kina związkowe, 11 bibliotek. Tylko, że świetlice te to zwykle, rzadko w zimie opalane izby, że w tych kinach przeciętna na seansie wynosi raptem 40 widzów, a w bibliotekach są tak „ciekawe" księgozbiory, że w roku ubiegłym miały zaledwie 175 czytelników. O horynieckim klubie - kawiarni lepiej nie mówić.

Powoli w dyskusji wyłaniały się dwa zasadnicze zagadnienia: planowanie pracy kulturalno - oświatowej i problem kadr. Stwierdzono, że podstawową sprawą jest dokształcanie pracowników PGR i w związku z tym konieczność uruchomienia odpowiednich kursów szkolnych. Wnioski nie ograniczały się tylko do samych ludzi objętych obowiązkiem nauczania. Mówiono o stworzeniu odpowiednich warunków uczącym się, o potrzebie zakupu lektur szkolnych, o stosunku kierowników gospodarstw do dokształcających się pracowników, ba, nawet o herbatce, jaką należałoby gotować przyjeżdżającym z odległych stron w mroźne zimowe wieczory słuchaczom kursów. Postulowano konieczność łączenia szkolenia ogólnego z zawodowym, dającym pewne uprawnienia i możliwość awansu. Przede wszystkim zaś żądano opracowania planu szkolenia i objęcia nim wszystkich, którzy podlegają temu obowiązkowi. Zasadę planowania wysunięto także w odniesieniu do pracy kulturalnej i to zarówno do jej programu, jak i przeznaczenia pieniędzy na tę działalność.

Wiadomo jednak, że nie pomoże najlepszy plan, jeśli nie będzie miał właściwych wykonawców. Kadry decydują o wszystkim i ich brak jest główną przyczyną dotychczasowych niepowodzeń. Lubaczowskie PGR-y mają z tym poważne trudności. Dotychczasowi świetlicowi to ludzie bez kwalifikacji, których czynności ograniczają się do sprzątania, otwierania i zamykania tych niby-świetlic. Organizatorów życia kulturalnego w PGR-ach nie ma.

Egzekutywa KP PZPR postanowiła zwrócić się o pomoc do nauczycieli. Jeśli zgodzą się pomóc, jeśli PGR-y znajdą (a mogą) pieniądze na wynagrodzenie dla nich, sprawa może ruszyć z miejsca. Jednocześnie trzeba wychowywać i szkolić własny aktyw kulturalny, wykorzystać księgowych, którzy mogą pomóc w samej organizacji imprez i szkolenia, nie pominąć żadnej możliwości wzbogacenia życia kulturalnego załóg.

Warto także ściślej związać to życie z życiem całej wsi, tworzyć wspólne świetlice, organizować imprezy, szkoły zdrowia, kursy rolnicze, gospodarstwa domowego itp. Taka więź wyjdzie na dobre obu stronom.

Niemało także zależy od tego, jakie znaczenie przywiązywać będą do tej pracy kierownicy gospodarstw, Inspektoratu i Zarządu Okręgowego Związku Zawodowego Pracowników Rolnych, a także rady narodowe. Ich pomoc i opieka są niezbędne, by PGR-y zaczynające przodować w produkcji mogły odgrywać także właściwą rolę w życiu kulturalnym wsi.

WITOLD SZYMCZYK

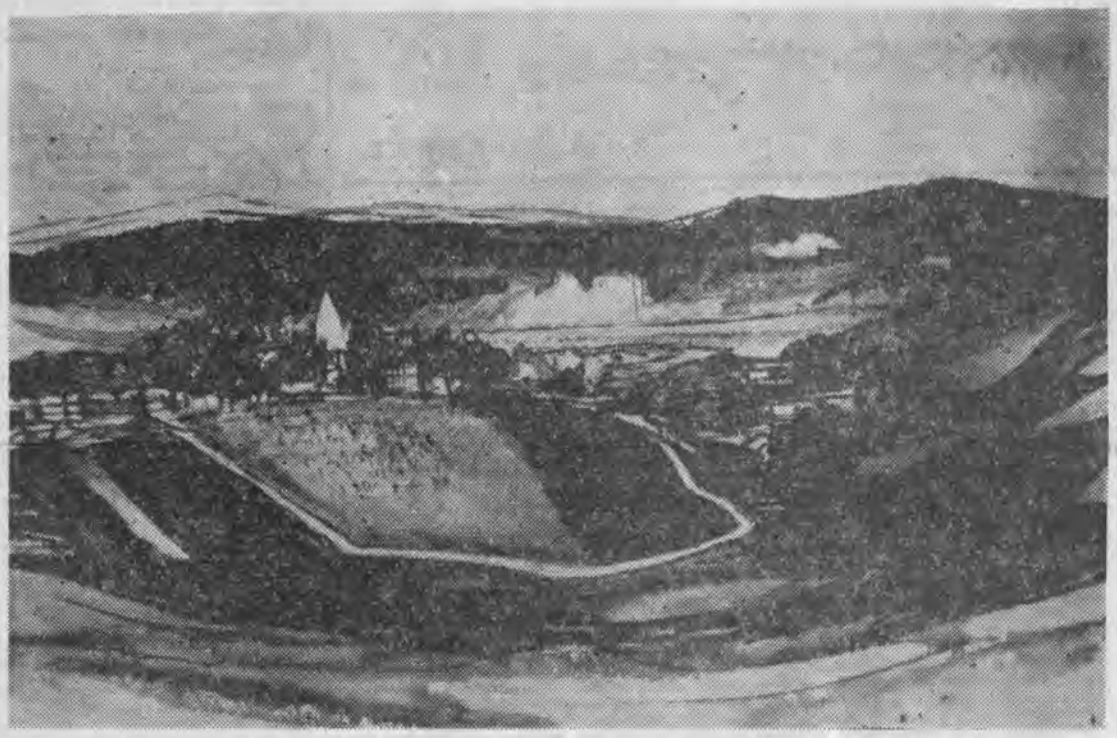

A. JAKUBOWICZ. *Bieszczady. Lesko I.*

szedł z nich wszystkich i jest profesorem, i pisze książki. Stary mówił — nie bardzo to wychodziło, żeby Stefek szedł z domu, bom sam zostawał na gospodarce, ale on chciał, to sobie pomyślałem — mówił dalej stary Bałaj — inni poszli, a on ma zostać, a czy on to co gorszego, wezmę do pomocy Staszkowego Wojtka i Zazulinę, a Stefek niech idzie; i dobrzem zrobił, bo Stefek wyszedł na człowieka i dobrze mu, i inaczej na świat patrzy, nie tak jak my tu we wsi.

Gdy stary Bałaj wspomniał o Zazulinie to pomyślałem, że wnet skończy się moje siedzenie w krzaku, bo będzie ta rozmowa o polu, które ona chce zabrać, a moja mama na to krzywo patrzy i coś kombinuje. Ale się pomyliłem, bo oni o tym polu nie mówili, tylko się wszyscy rozpływali w gadaniu o tym pójściu do szkół i wyjściu na ludzi. A gdy się już o tym nagadali, to ten najstarszy syn, ten inżynier zamiast mówić o Zazulinie, wstał i zrobił jakąś taką głupią minę i krzyknął znów to samo — brakuje tu jednego. Zrobiła się cisza i wszyscy się wyprostowali, i zaczęli wzruszać ramionami i mówić — trudno; a potem któryś — zdaje się — jeden z tych młodszych synów Bałaja powiedział — dobrze by było, żeby wśród nas siedział Jasiek, ale co poradzimy; a stary zaraz na to — co poradzimy, co poradzimy...

Wszyscy się spostrzegli, że gdy Władek powiedział — brakuje tu jednego — to miał na myśli tego piątego syna starego Bałaja, któremu było na imię Jasiek, ale — jak do dziś mówią we wsi — nazywali go błogosławionym Jasiem, bo był jakiś dziwny. Błogosławiony Jaś umarł przed wojną na jakąś ciężką chorobę i już od wielu lat leży w grobie; ale widać przy wódce przypomniał się temu inżynierowi, bo on kilka razy wyskakiwał z tym — brakuje tu jednego. Człowiekowi, który sobie popije zdaje się, że wskrzesi umarłego; i tak jest z tym inżynierem, który wypił sporo wódki; ale dobrze mu odpowiedzieli bracia i ojciec, bo co mogli odpowiedzieć, tylko to — co poradzimy.

Lepiej mówiliby o Zazulinie i o tym kawałku pola, bo bym mógł już wyjść z krzaka; ale oni o tym ani słowa.

Teraz wszyscy się śmieją, bo chyba już zupełnie zapomnieli o błogosławionym Jasiu. Ale nie, ten inżynier znów wstaje, bo on widać uczepił się tego jednego, jak to czasem przy wódce bywa; wstaje i znów się tak samo poważnie nadyma i wykrzykuje — brakuje tu jednego, powinien tu między nami siedzieć. Wszyscy wiedzieli, że on myśli o błogosławionym Jaśku, no to na nowo wzruszali ramionami i mówili, że człowiek na to nie poradzi, bo poradzić nie może.

Ale już teraz nie odeszli od niego i zaczęli wspominać ten czas, kiedy żył błogosławiony Jaś i znów można było poznać, że to jest kochajaca się rodzina, bo ci co żyją pamiętają o swoich umarłych.

A Władek mówił — dziwny był ten nasz Jasiek, lubił sam chodzić po polach, a czasem to można go było spotkać nad tą wodą, gdzie rosło sitowie; a czasem to wstawał rano tylko po to, żeby zobaczyć jak wschodzi słońce.

Wmieszał się do rozmowy Stefek, ten profesor, który pisze książki i powiedział, że błogosławiony Jaś miał pewnie artystyczną duszę i dlatego tak łaził po polach; no to Władek zaczął płakać i głupio powtarzać — myśmy tego nie wiedzieli, myśmy tego nie wiedzieli...

A o Zazulinie i o tym kawałku pola ani słowa, z czym wrócę do domu...

A potem Władek trzasnął pięścią w stół i krzyknął do ojca — to ty kazałeś wsadzić w gówna błogosławionego Jasia; ale ojciec robił dalej porządek na stole i przesuwał kieliszki i flaszki tam gdzie trzeba i nic nie odpowiedział, bo był bardzo zajęty tym porządkowaniem.

Ci dwaj młodsi dziwnie popatrzyli na starego, a on podniósł nagle kieliszek do góry i zawołał na wszystkich, żeby pili, bo wódka wietrzeje; to tak ma się mówić, gdy wódka za długo stoi w kieliszkach.

Ale Władek uczepił się błogosławionego Jasia i przekrzykiwał wszystkich, i koniecznie chciał opowiedzieć, jak to było tego dnia, w którym on i Wacek wepchali tego błogosławionego w kupy.

Gdy tak wykrzykiwał, to się krzywił jakby do płaczu i wyglądał śmiesznie, jak każdy duży, który płacze; a potem pokazał palcem na ojca i krzyknął najgłośniej z wszystkich — tyś kazał mnie i Wackowi złapać błogosławionego Jasia i przyprowadzić do gnoju.

Stary widać miał już trochę czasu, żeby odpowiedzieć Władkowi, bo już uporządkował, co trzeba na stole; no to odpowiedział synowi, że wtedy woził gnój i miał pożyczone konie i wóz.

Pomyślałem sobie — zaczną teraz mówić o jakimś dawnym wożeniu gnoju.

Gdy stary powiedział, że wtedy woził gnój i miał pożyczone konie i wóz, to Władek mu na to — no to co, że się woziło gnój, ale on nie był do tej roboty, myśmy wtedy tego nie wiedzieli, myśmy tego nie rozumieli; i zaczął popłakiwać.

Potem wmieszali się do tego inni i wciąż było to gadanie o gnoju i artystycznej duszy; wszyscy razem gadali i trudno było coś z tego zrozumieć, ale było pewne, że im chodziło o to, czy taki który ma artystyczną duszę powinien wozić gnój, czy ma być z tej roboty zwolniony; zdaje mi się, że tym dwom synom to znaczy temu Władkowi — inżynierowi i Wackowi — nauczycielowi chodziło o to, że błogosławiony Jaś nie powinien być wtedy wzięty do roboty przy gnoju i ojciec nie powinien ich wtedy zmuszać, żeby złapali błogosławionego, który uciekał w pole.

Stary Bałaj myślał — zdaje mi się — nie tak, jak jego dwaj starsi synowie. Według niego, to nawet taki, który ma artystyczną duszę — nawet taki jak błogosławiony Jaś — powinien wozić gnój, gdy wóz i konie są pożyczone, gdy jest twarda droga i można wyładować większą furę; a wtedy tak było, bo stary to powiedział. Bałaj mówił — dzień był ładny i było sucho i poszedłem do Wicka Frączaka i mówię mu o konie i wóz, a on do mnie — bierz, ale tylko do południa, bo po południu ja wożę.

Miałem ochotę wyleźć z tego krzaka, ale przypomniałem sobie, że mama chce to pole starego wykombinować dla siebie i zamyśla postawić na nim nowy dom, bo to jest pole placowe; no to ja muszę siedzieć w tym bzie i muszę wysłuchać tego, co potrzeba; a im się zachciało gadania o wożeniu gnoju i to o jakimś dawnym wożeniu. Dziwię się, że mówią o tym jak o czymś ważnym, tacy panowie są, tak zawzięcie o tym mówią.

Teraz stary Bałaj nie czekał już aż Władek albo Wacek zaczną mówić o tamtym dniu, w którym on pożyczył konie i wóz od Frączaka, tylko sam zaczął — czasu było mało, a gnój trzeba było wywieźć na pole, chciałem, żeby wszyscy nakładali na wóz, który był pożyczony; i konie także były pożyczone.

Ale Władek, ten inżynier nie dał ojcu mówić dalej, tylko wstał i pokazał ojca palcem i krzyknął — to ten stary bandyta kazał mnie i Wackowi złapać błogosławionego Jasia, a myśmy nic nie rozumieli jak to jest z tym błogo-

(Dokończenie na str. 4)

TĘSKNOTA I KONFRONTACJE

Warszawa, ul. Koszykowa 6-a — tylko to powtarza się na wszystkich kopertach. Bo nawet nazwa miesięcznika, do którego redakcji te listy nadchodzą, brzmi różnie: raz jest to „POLAND", raz znów — „LA POLOGNE" jeszcze innym razem — „POLEN".

Nadchodzą te listy z Australii i NRF, z USA, Francji, Holandii, piszą je ludzie różnego wieku i zawodu, pod nazwiskiem dodając dla wyjaśnienia: „emigrant polski" „Amerykanin polskiego pochodzenia", „Polak z Australii". Są wśród nich tacy, którzy Polskę znają tylko z opowiadań rodziców, i tacy, którzy nie znają już ojczystego języka.

Co więc każe tym ludziom chwycić za pióro, by napisać list do dalekiej warszawskiej redakcji?

„Bywa czasem tak jakoś dziwnie, kiedy odczuwa się coś w rodzaju zmory, która żre serce, ściska za gardło, rwie mózg. Tego uczucia nie da się opisać, to mogą odczuć tylko ci, którzy przebywają z dala od ojczyzny".

W przejmującym wyznaniu emigrantki polskiej z Sydney tkwi chyba ogromna część odpowiedzi na postawione pytanie. List do Warszawy daje poczucie realnego kontaktu z krajem, pozwala na bezosobowe, a przecież intymne zwierzenie tęsknoty.

Do redakcji „Polski" niczym do konfesjonału polskości płyną wyszeptywane skargi na samotność wśród obcych, skargi, których nie wykrzykuje się głośno na obczyźnie, żeby nie podrywać sobie z trudem zdobytej pozycji, skargi, których często nie pojmują już własne dzieci. Wtedy list do „Polski" staje się odtrutką na zmorę atakującą serce i mózg, duszącą za gardło.

Ta sama emigrantka z Sydney z goryczą pisze o używanym w australijskich szkołach „Przewodniku geograficznym", w którym nie ma nawet wzmianki o Polsce, a wiele kart poświęconych jest np. Monaco.

Relacjonuje pytania zadawane jej przez koleżanki Australijki: „Czy w Polsce używa się widelców i noży?". „Nie wyglądasz na Polkę, jesteś przecież elegancka" — mówi jej w formie komplementu inna znajoma.

„Zamieszkuję 24 lata w Holandii — pisze inna kobieta — tutaj... żyję bardzo osamotniona. Mąż i dzieci żyją własnym życiem. Oni nie odczuwają wcale mojej tęsknoty za Polską. Chciałabym jeszcze zobaczyć Warszawę".

„Nie byłem jeszcze nigdy w Polsce, ojczyźnie moich rodziców — pisze emigrant z NRF — z przyjemnością czytujemy z siostrą „Króla Ducha" Słowackiego. Kupiłbym chętnie również „Dziady" Mickiewicza, „Pana Tadeusza" czytałem jeszcze w 1913 roku razem z rodzicami".

Dla tych ludzi polskość jest ojcowskim spadkiem, skrywaną tęsknotą, wartością bardzo cenną, ale i bolesną; tylko niewielu spośród nich los daje szansę odwiedzenia ojczystego kraju.

Ci, którym udaje się przyjechać w odwiedziny do Polski nie tylko zaspokajają tęsknotę. Dokonują również wielkiej konfrontacji. Pełni zdziwienia odkrywają Polskę, ich świeże spojrzenie notuje fakty i zjawiska umykające już naszemu powszednieniu spostrzeganiu.

„Ludzie w Polsce nie zdają sobie sprawy, ile szpitale i lekarstwa kosztowałyby ich w Ameryce — czytamy w liście z USA — zdaje się, że u większości amerykańskich lekarzy zanikło uczucie ludzkości. Stali się zwyczajnymi wydrzygroszami i nawet po śmierci ofiary rodzina musi spłacać koszty długiego leczenia".

Polska zadziwia tych Polaków z Sydney i San Francisco. „Nie przypominam sobie, aby w Polsce ktoś płacił za szkołę, za gimnazjum, za wyższe studia".

Okazuje się nie tylko inna niż kraj ze wspomnień ojców. Ale także różna od jej obrazu kształtowanego przez część prasy polonijnej.

„Poszłam na procesję Bożego Ciała — wspomina swój niedawny pobyt w Warszawie Amerykanka polskiego pochodzenia, z Meadow — w procesji brały udział różne zakony męskie i żeńskie... Kwiaty do rozsypywania noszono w dużych koszach. Nigdy przedtem nie widziałam tyle duchowieństwa w jednej procesji... — Za księżmi płynie zagęszczona fala ludzi... W Stanach Zjednoczonych prasa polonijna, jak również i amerykańska głoszą, iż religia w Polsce jest wzbroniona. Aby zadać kłam tym bzdurom pokazuję ludziom moje filmy, jakie zrobiłam podczas procesji".

Czyż trzeba mówić, że nasi goście, jak ta Polka z Meadow, stają się najlepszymi i najbardziej wiarygodnymi świadkami prawdy o kraju?

Tęsknota za krajem. Konfrontacja przeszłości Polski z jej dniem dzisiejszym, konfrontacja tez głoszonych przez wrogie nam ośrodki propagandy zachodniej z rzeczywistą sytuacją w kraju — to tylko dwa dowolnie wybrane „klucze" do tych listów.

B. Dr.

JAN LUBAS — architekt wnętrz.

Rys. J. SIENKIEWICZ

List do redakcji

Za wcześnie...

Nie wiem co gorsze, czy zbytni pesymizm czy wygórowany optymizm. Wiem tylko, że pesymizm umniejsza wartości, a optymizm daje czasem szczęście. Wyobrażam sobie zadowolenie pani Teresy Żurawskiej, gdy pisząc swoją relację z wystaw dla „Widnokręgu" przyszła w swym optymizmie do przekonania, że wystarczy z wystaw wykluczyć abstrakcję, aby zwalić bariery dzielące sztukę od odbiorców. To twierdzenie uzasadnia pani Żurawska tym, że „malarstwo bezprzedmiotowe nigdy nie puściło najsłabszych nawet korzonków na glebie rzeszowskiej plastyki", a rzeszowscy artyści malowali abstrakcje jako „powierzchniowe lizanie raczej dla zabawy czy mody, niż na serio". Gdyby tak było, to jakie świadectwo wystawiliby sobie rzeszowscy artyści, którzy mieliby przez szereg lat malować na niby. — Ale nie o to chodzi. Chodzi o te bariery. Musimy stwierdzić, że nie tylko Rzeszów nie zachwycał się abstrakcją, ale całe nasze społeczeństwo zajmowało takie stanowisko, o ile chodziło o malarstwo sztalugowe. Wszak przy narodzinach sztuki nowoczesnej nie było walki jak na przykład przy impresjonizmie. Do nas sztuka nowoczesna weszła niejako poza plecami społeczeństwa.

Dziwny przy tym stwierdzić należy paradoks: społeczeństwo nasze entuzjazmuje się sztuką syntetyczną, która czerpie wzory z obrazów sztalugowych. Musimy też stwierdzić, że cały mit sztuki „informal" wywarł ogromny wpływ na naszą sztukę i dlatego nasz realizm zmienić musi oblicze. Chyba chcielibyśmy cofnąć się i naśladować „Młodą Polskę", co się dość często zdarza (Zachęta). Ale czy tą drogą byłaby właściwa? Sądzę, że musi powstać nowy styl w sztuce, choć dzisiaj przedwcześnie byłoby ustalać, jaki przybierze kierunek. Aby do tego dojść i pogodzić odbiorcę z nowym prądem, odbiorca musi nadrobić swoje zacofanie, musi usunąć bariery między sztuką a odbiorcą. Trzeba jednakże pod tym względem odbiorcom pomagać. W Warszawie i Krakowie spełniają rolę dokształcania niedzielne wycieczki na wystawę i do pracowni artystycznych. A Rzeszów? Podobno w Rzeszowie istnieje Towarzystwo Przyjaciół Sztuk Pięknych, tylko o nim nic nie słychać. Może by właśnie to Towarzystwo podjęło jakąś pracę przy obalaniu barier między sztuką a odbiorcami? Głównym polem działania winna być prowincja zabita deskami od ośrodków sztuki i ruchu artystycznego. Już kończy się okres realizacji planu Ministerstwa Kultury i Sztuki, planu upowszechnienia sztuki i nasuwa się gorzkie pytanie, co pod tym względem zrobiono na terenie Rzeszowszczyzny, a to przecież też bariera*). Czy coś zrobiono w kierunku walki ze szmirą, tą główną barierą między sztuką a odbiorcą? W tej akcji trzeba się całym społeczeństwem a nie tylko tą garstką zwiedzających rzeszowskie wystawy, zainteresować. Z całego nurtu sztuki nowoczesnej wiele wsiąkło do dzisiejszej sztuki realistycznej i dzisiejszy realizm musi uwzględniać nowe formy, ulegać przemianom, a do tego nie dochodzi się jedną wystawą bez abstrakcji — to droga długa i daleka.

ALFRED DŁUGOSZ

*) Od redakcji: Tutaj nasz czytelnik wpada jednak w zbyt wielką krańcowość. Niewątpliwie zrobiono już pod tym względem niemało. Choćby tylko wymienić prelekcje o sztuce kierownika BWA Cezarego Kotowicza w WDK, muzeum i w ogóle całą działalność prowadzonej przez niego placówki, liczne spotkania plastyków ze społeczeństwem i to także poza Rzeszowem, wystawy plastyki lub reprodukcji połączone z dyskusjami itp. Prawdą jest jednak, że zainteresowanie społeczeństwa sprawami sztuki nie jest jeszcze takie, jakiego pragnęlibyśmy i działalność pod tym względem organizatorów życia kulturalnego, zwłaszcza w terenie, ma duże perspektywy.

Zdarzenia TYGODNIA

Realizując program współpracy międzywojewódzkiej, Wojewódzka Biblioteka Publiczna w Rzeszowie zorganizowała w dniach 17—19 bm. seminarium dla bibliotekarzy pracujących z dziećmi. Uczestniczą w nim bibliotekarze z województw: rzeszowskiego, białostockiego, kieleckiego, lubelskiego oraz warszawskiego. Oprócz wykładów m. in. z zakresu psychologii i krytyki literackiej, uczestnicy seminarium spotkają się ze znanymi pisarzami — Aliną i Czesławem Centkiewiczami. Zwiedzą również kilka najlepiej pracujących bibliotek powiatowych.

* * *

Przebywająca w ubiegłym tygodniu w województwie rzeszowskim delegacja pedagogów i działaczy społeczno-oświatowych z obwodu lwowskiego odwiedziła m. in. Technikum Budowlane w Rzeszowie. Delegacji zaprezentowano dorobek uczniów Szkół Rzemiosł Budowlanych, Technikum oraz Państwowej Szkoły Architektury; pedagodzy radzieccy obejrzeli m. in. wystawę rysunków odręcznych, projektów technicznych oraz modeli.

* * *

Państwowa Średnia Szkoła Muzyczna w Rzeszowie prowadzi ożywioną współpracę z bratnimi placówkami z innych województw. I właśnie w ramach wymiany doświadczeń i osiągnięć gościł w ub. środę (16 bm.) w rzeszowskiej PSSM prawie 100-osobowy zespół uczniów Państwowej Szkoły Muzycznej z Bielska. Uczniowie dali koncert dla kolegów. Występ młodzieży z Bielska został przyjęty bardzo ciepło.

* * *

W sali Domu Kolejarza w Rzeszowie otwarto wystawę książki technicznej, na której zgromadzono około 800 tytułów.

* * *

Pięknym sukcesem zakończył się występ artystów rzeszowskiej estrady na Ogólnopolskim Festiwalu Zespołów Estradowych, zorganizowanym w Olsztynie przez Ministerstwo Kultury i Sztuki. Programowi „Julia, czyli delikatność uczuć", opartemu na tekstach K. I. Galczyńskiego, przyznano pierwsze miejsce.

* * *

W Średniej Szkole Muzycznej w Rzeszowie odbyło się 15 bm. uroczyste pożegnanie dyrektora Tomasza Czapli, który przeszedł na emeryturę. W imieniu grona nauczycielskiego dyrektora T. Czaplę pożegnał prof. Harasiewicz. Miłą uroczystość zakończył pożegnalny koncert uczniów. Prof. Tomasz Czapla nadal pełni funkcję prezesa Towarzystwa Muzycznego w Rzeszowie.

* * *

Sprawy związane z przygotowaniami do rozpoczęcia zajęć w placówkach TWP, uniwersytetach powszechnych i uniwersytetach dla rodziców, były przedmiotem narady wojewódzkiej.

* * *

Podobnie jak w latach ubiegłych uniwersytety powszechne i uniwersytety dla rodziców dostosują swe programy do potrzeb i zainteresowań słuchaczy, z uwzględnieniem zagadnień politycznych i gospodarczych, międzynarodowych i krajowych. Uwzględniona zostanie również tematyka 20-lecia Polski Ludowej.

* * *

Artystyczne tournèe po województwie rzeszowskim zapowiedział Zespół Estradowy Marynarki Wojennej z Gdyni. Artyści — marynarze odwiedzą nas w listopadzie.

* * *

Liczne koncerty i występy zespołów artystycznych odbyły się ostatnio w ramach programu obchodu 20-lecia ludowego Wojska Polskiego. Kilkanaście koncertów zorganizował garnizonowy klub oficerski z Rzeszowa. Z programem „Od Oki do Berlina", na który złożyły się piosenki żołnierskie, melodie i tańce, członkowie klubu występowali m. in. w Strzyżowie, Frysztaku, Dębicy, Gorlicach, Stalowej Woli, Machowie i Ustrzykach Dolnych.

IMIENINY

(Dokończenie ze str. 3)

sławionym i złapaliśmy go w słonecznikach i przyprowadziliśmy go na to miejsce, gdzie był wóz i kupa gnoju wydarta z dołu. To on wtedy powiedział — pchnijcie go tutaj dalej w te kupy niech zakosztuje gnoju; i myśmy pchnęli błogosławionego Jasia, bo myśmy nic nie rozumieli i on wlazł w ten gnój bosymi nogami; a potem daliśmy mu do ręki widły.

W izbie było cicho a później powstał wielki ruch i szum, bo ci młodsi synowie Bałaja wstali z krzeseł i mówili do Władka, żeby przestał mówić o tym wożeniu gnoju, bo to już wszystko minęło a teraz trzeba obchodzić imieniny ojca i pić; oni, to znaczy ten Felek i ten Stefek, ten oficer i profesor pewnie nie rozumieli, że jak się wozi gnój i ma się pożyczone konie i wóz, to wszyscy powinni złapać za widły.

No to Władek odsapnął i ojciec także i wszyscy chwycili za kieliszki i znów było wesoło; ale niedługo, bo Władek już był nakręcony na to wspominanie błogosławionego Jasia, a i Wackowi temu nauczycielowi też się to udzieliło, bo obaj zaczęli wołać — to tak nie można, to tak nie można; a później powiedzieli, że jak błogosławiony Jaś stanął w tych łajnach to powiedział — co robicie... A ojciec odpowiedział mu — jak to co — wozimy gnój.

A potem Władek i Wacek zaczęli się rozwodzić nad tym jak to ten błogosławiony Jaś uciekł od nakładania gnoju, jak ojciec go gonił po sadzie i nie mógł go złapać i jak się rozgniewał i rzucił w niego łańcuchem od pługa i ten łańcuch trafił błogosławionego Jasia z tyłu w głowę. Władek powiedział, że gdy błogosławiony Jaś dostał tym łańcuchem, to się przewrócił, ale zaraz wstał chwycił się za głowę i zaczął się kręcić w kółko jak w jakimś tańcu a potem bez przerwy powtarzał — słyszę jakieś szumy z daleka, słyszę jakieś głosy z daleka i w kółko to samo — słyszę jakieś szumy z daleka.

Mówili, że w tym tańcu błogosławiony Jaś posuwał się do domu i wszedł do izby, położył się na łóżku z tymi zagnojonymi nogami. On tam leżał sam, bo gnój trzeba było wozić, bo wóz i konie były pożyczone.

Najbardziej w tym gadaniu o wożeniu gnoju zapalał się Władek, ten inżynier. On tak się zapalał, że krzyknął na ojca — ty morderco, ale przy wódce to tak się powie.

Ci młodsi tak jakoś dziwnie patrzyli po sobie i po tamtych starszych braciach, którzy cicho popłakiwali i po ojcu, bo oni nie pamiętali wiele z tamtych czasów.

Z tego co Władek i Wacek mówili, wychodziło, że gdy błogosławiony Jaś zobaczył ojca, to chciał się jakoś wytłumaczyć i powiedział, że Pan Bóg go skarał, bo był próżniakiem i nie chciał nakładać gnoju; a potem znów się uczepił tych szumów i tych głosów, które słyszał z daleka przed południem, gdy mu ojciec przyłoił tym łańcuchem i znów powtarzał — słyszę jakieś szumy z daleka, słyszę jakieś szumy z daleka.

To widać śmieszne było, bo Władek i Wacek uśmiechnęli się, gdy o tym opowiadali a potem nagle zaczęli popłakiwać, bo to widać tylko tak śmiesznie z początku wyglądało, ale naprawdę to nie było takie śmieszne.

Gdy oni to mówili, stary się złościł a nawet chlusnął temu inżynierowi wódką z kieliszka w gębę, ale ci młodsi powiedzieli mu, żeby im nie przeszkadzał; a ja sobie pomyślałem, że jeszcze długo nie będzie mowy o Zazulinie i o tym kawałku pola, który chce jej dać stary.

Władek i Wacek mówili teraz, że błogosławiony Jaś coraz ciszej wypowiadał to — słyszę jakieś szumy z daleka — a potem nagle zebrał w sobie trochę siły i krzyknął — tato ja wnet umrę; no to ojciec powiedział wtedy do Władka i Wacka — idźcie z izby, sam przy nim zostanę; Władek i Wacek musieli wyjść z izby; stanęli sobie na dworze przy ścianie domu.

Władek pamiętał dobrze to wszystko, bo mówił, że gdy stali przy tej ścianie, to im się tam trochę nudziło i zaczęli grać w guziki. Ale wnet wyszedł z izby ojciec i powiedział im, że błogosławiony Jaś umarł; no to oni zaraz polecieli do izby, żeby zobaczyć umarłego; i widać dobrze go sobie zapamiętali, bo mówili, że mu wystawały gołe nogi spod pierzyny i że te nogi nie były białe, ale brązowe, bo błogosławiony nie umył sobie nóg.

Gdy to Władek i Wacek opowiadali, z tymi młodszymi synami starego zaczęło się coś dziać i oni jakoś dziwnie przyglądali się ojcu a ten najmłodszy, który jest profesorem i pisze książki wstał i powiedział na ojca — synobójca. Synobójca — to jakieś pańskie słowo, ale wiem, że to o takiego chodzi, który zabił swojego syna.

Teraz ci młodsi, to znaczy ten Felek i Stefek robili w izbie największy ruch i wołali — czego to myśmy się dowiedzieli. Władek i Wacek uciszyli się, popłakiwali tylko.

Stary patrzył na to wszystko i był spokojny tak jakby się nic nie stało a potem widać nie mógł ścierpieć tego piekielnego harmideru w izbie i tych krzyków i tych doskakiwań młodszych synów, a i pewnie myślał o tym słowie — synobójca — bo powiedział, że błogosławiony Jaś przebaczył mu przed śmiercią i że jego ostatnie słowa były — tato nie myśl o tym łańcuchu.

Gdy to stary powiedział, synowie zaczęli się śmiać a potem skoczyli do niego a to miało oznaczać — jak później po tych krzykach poznałem — że lepiej byłoby, żeby stary nie mówił o tym przebaczeniu, które wypowiedział do ojca błogosławiony Jaś przed swoją śmiercią. Zdaje się, że jeden z tych młodszych zawołał — jak się ojciec nie wstydzi tak mówić.

To co się później działo w izbie nie da się dokładnie opowiedzieć, bo było wielkie zamieszanie. Zaczęli się wszyscy wodzić to w tę to w tamtą stronę; któryś popchnął starego i krzyknął — tyś zabił błogosławionego Jasia; stary się zatoczył i rymnął na podłogę, gdy się przewracał trzasnął głową o kant łóżka; do czego to wódka prowadzi — tak by zaraz powiedziała mama; mama czeka w domu na te wiadomości o Zazulinie i o polu a tu się takie rzeczy dzieją.

Ktoś znowu powiedział do tego, który pchnął ojca — coś zrobił...

Gdy ten stary tak leżał na podłodze, to oni jakby nie wiedzieli czy go podnieść czy nie, bo tego można się było dorozumieć po ich krzykach; z jednej strony wychodziło, żeby starego nie podnosić, bo on zabił błogosławionego Jasia a z drugiej wychodziło, żeby go podnieść, bo to ojciec. No to oni nie wiedzieli co zrobić, i to było ni tak ni tak...

A potem to ja wylazłem z tego krzaka i poszedłem do domu, bo sobie pomyślałem, że oni o Zazulinie i o tym polu mówić nie będą.

JULIAN KAWALEC

Wydaje Wydawnictwo Prasowe „Nowiny Rzeszowskie" — RSW „Prasa". Adres redakcji: Rzeszów, ul. Żeromskiego 5. Telefony: redaktor naczelny 4775, zastępca redaktora naczelnego 4618, zespół redakcyjny 2854, 2857 wewn. 136.